

A romantic couple is shown from the chest up, floating in the ocean. They are facing each other and kissing. The woman is on the left, with her hair wet and dark. The man is on the right, with short brown hair. They are both shirtless. The background is a soft, golden sunset over the water, with the sun low on the horizon. The water is calm with gentle ripples.

NAGIE SERCA

COLLEEN HOOVER

NAJNOWSZA POWIEŚĆ UWIELBIANEJ AUTORKI BESTSELLERÓW
UGLY LOVE ORAZ TOO LATE



**NAGIE
SERCA**

COLLEEN **HOOVER**

NAGIE SERCA

TŁUMACZENIE MATYLDA BIERNACKA


OTWARTE
KRAKÓW 2021

Tytuł oryginału: *Heart Bones*

Copyright © 2020 by Colleen Hoover

Copyright © for the translation by Matylda Biernacka

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia: Natalia Karolak

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekty i łamanie: CHAT BLANC Anna Poinc-Chrabąszcz

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce:

Fotografia autorki:

ISBN 978-83-8135-104-1



www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Kelly Garcia, tę książkę dedykuję Tobie, Twojemu mężowi
i Waszemu szczęśliwemu zakończeniu*

ROZDZIAŁ 1

Lato 2015

Obrazek z Matką Teresą wisi na ścianie naszego salonu w miejscu, w którym wisiałby telewizor, gdybyśmy mogły sobie pozwolić na taki model, jaki wiesza się na ścianie, lub choćby na dom o ścianach, które utrzymałyby telewizor.

Ściany mobilnego domu nie są zrobione z takich materiałów jak ściany zwykłego domu. Sypią się jak kreda pod naciskiem paznokcia, jeśli się je choćby zarysuje.

Spytałam kiedyś matkę, Janean, czemu powiesiła wizerunek Matki Teresy na ścianie salonu.

– Ta suka była oszustką – odparła.

Jej słowa. Nie moje.

Myślę, że kiedy samemu należy się do najgorszych ludzi, doszukiwanie się najgorszych cech u innych to swego rodzaju instynkt samozachowawczy. Koncentrujesz się z całych sił na mrocznej stronie innych w nadziei na zatajenie prawdziwego odcienia własnego mroku. Moja matka na tym właśnie

spędza całe życie. Zawsze doszukiwała się w ludziach najgorszego. Nawet we własnej córce.

Nawet w Matce Teresie.

Janean leży na kanapie w tej samej pozycji, w której leżała, kiedy wychodziłam na swoją zmianę w McDonald's osiem godzin temu. Wpatruje się w podobiznę Matki Teresy, ale tak naprawdę jej nie widzi. Jakby jej gałki oczne odmówiły współpracy.

Przestały cokolwiek rejestrować.

Janean jest uzależniona. Zdałam sobie z tego sprawę, kiedy miałam jakieś dziewięć lat, ale wtedy jej nałogi ograniczały się do mężczyzn, alkoholu i hazardu.

Przez lata stały się bardziej zauważalne i znacznie bardziej niebezpieczne. Jakies pięć lat temu, w okolicy moich czternastych urodzin, przyłapałam ją po raz pierwszy na wstrzykiwaniu sobie metamfetaminy. Kiedy zaczyna się brać metę regularnie, długość życia drastycznie się kurczy. Wygooglałam to kiedyś w szkolnej bibliotece. *Jak długo można żyć z uzależnieniem od metamfetaminy?*

Sześć do siedmiu lat, tak twierdzi internet.

W ciągu minionych lat zastawałam ją parokrotnie w stuporze, ale tym razem jest inaczej. Ostatecznie.

– Janean? – Odzywam się ze spokojem, który z całą pewnością jest w tej chwili nie na miejscu. Mam wrażenie, że głos powinien mi się łamać lub całkiem uwięznąć w gardle. Wstyd mi trochę z powodu braku reakcji w takiej chwili.

Rzucam torebkę na podłogę i z przeciwległego końca pokoju wpatruję się intensywnie w twarz Janean. Na zewnątrz pada, nawet jeszcze nie zamknęłam drzwi, więc wciąż moknę. Jednak niezamknięcie drzwi i nieosłonięcie pleców przed deszczem to najmniejsze z moich zmartwień, w chwili kiedy wpatruję się w Janean wpatrzoną w Matkę Teresę.

Jedna ręka Janean obejmuje brzuch, druga zwisa z kanapy, a palce opierają się łagodnie o wytarty dywan. Janean jest lekko opuchnięta, przez co wygląda młodziej. Nie młodziej niż na swój wiek – ma zaledwie trzydzieści dziewięć lat – ale młodziej niż na to, co zrobiło z nią uzależnienie. Policzki ma trochę mniej wklęsłe, a zmarszczki, które uformowały się przez ostatnich parę lat wokół jej ust, wyglądają jak wygładzone botoksem.

– Janean?

Cisza.

Usta są lekko rozchylone, ukazują żółte resztki połamanych i zgniłych zębów. Jakby życie uszło z niej w pół słowa.

Już od jakiegoś czasu wyobrażałam sobie tę chwilę. Bywa, że kiedy się kogoś tak mocno nienawidzi, trudno się nie zastanawiać, leżąc bezsenną nocą w łóżku, jak wyglądałoby życie, gdyby ten ktoś nie żył.

Wyobrażałam to sobie inaczej. Znacznie bardziej dramatycznie.

Wpatruję się jeszcze przez chwilę w Janean, by się upewnić, czy nie wpadła może w jakiś trans. Podchodzę do niej parę kroków, po czym przystaję na widok jej ręki. Ze skóry tuż poniżej zgięcia łokcia sterczy igła.

W momencie gdy ją dostrzegam, rzeczywistość oblepia mnie niczym warstwa szlamu i robi mi się niedobrze. Odwracam się na pięcie i wybiegam z domu. Czuję się tak, jakbym miała zaraz zwymiotować, więc przechyliłam się przez spróchniałą balustradę, starając się nie obciążać jej przesadnie, żeby się podę mną nie złamała.

Wymiotując, odczuwam ulgę, bo zaczynałam się niepokoić brakiem reakcji na tę przełomową chwilę. Może nie wpadłam w taką histerię, w jaką powinna w tej chwili wpaść córka, ale coś przynajmniej czuję.

Ocieram usta rękawem służbowej koszuli z McDonald's. Siadam na schodkach, mimo że deszcz wciąż bezlitośnie siecze mnie z wieczornego nieba.

Moje włosy i ubrania ociekają wodą. Podobnie jak twarz, ale krople spływające po moich policzkach to nie łzy.

Wyłącznie deszcz.

Mokre oczy, suche serce.

Przymykam powieki i ukrywam twarz w dłoniach, usiłując zdecydować, czy moja obojętność to wynik wychowania, czy urodziłam się wybrakowana.

Zastanawiam się, jakie wychowanie jest dla człowieka gorsze. Takie, w którym jest kochany i chroniony do tego stopnia, że nie ma świadomości, jak okrutny bywa świat, aż w końcu robi się już za późno, żeby nauczyć się niezbędnych umiejętności przetrwania, czy taki dom, w jakim ja wyrosłam. Najpaskudniejsza wersja rodziny, w której przetrwanie to jedyne, czego się uczysz.

Zanim osiągnęłam wiek, w którym mogłam zarobić na jedzenie, wiele nocy przeleżałam bezsennie, bo nie dało się zmruzzyć oka, gdy żołądek łapały z głodu skurcze. Janean powiedziała mi kiedyś, że burczenie dochodzące z brzucha to wygłodniały kot, który mieszka w moim wnętrzu i który będzie wydawał pomruki, dopóki go porządnie nie nakarmię. Za każdym razem, kiedy później robiłam się głodna, wyobrażałam sobie, jak kot w moim brzuchu szuka pożywienia, którego tam nie ma. Bałam się, że jeśli go nie nakarmię, pożre moje wnętrze, więc czasem pochłaniałam rzeczy, które nie były jedzeniem, po to tylko, żeby zaspokoić głodnego kota.

Kiedyś matka zostawiła mnie samą na tak długo, że sięgnęłam po starą skórkę z banana i skorupki jajek wyciągnięte ze śmieci. Próbowалам nawet zjeść parę kęsów wypełnienia siedziska w kanapie, ale zbyt trudno było je przełknąć.

Większość dzieciństwa spędziłam śmiertelnie przerażona, że powoli zjada mnie od środka wygłodniały kocur.

Nie wiem, czy Jenean naprawdę kiedykolwiek zniknęła na więcej niż dzień, ale dziecku czas się dłuży w samotności.

Pamiętam, jak wtaczała się chwiejnie przez drzwi, padała na kanapę i godzinami z niej nie wstawała. Zasypiałam zwinęta na drugim końcu kanapy, zbyt przerażona, by zostawić Janean samą.

Potem jednak, w poranki po pijackich powrotach, budziłam się i zastawałam ją robiącą w kuchni śniadanie. Nie zawsze tradycyjne. Czasem był to groszek, czasem jajka, czasem puszka rosołu z makaronem.

Kiedy miałam jakieś sześć lat, zaczęłam się w te poranki uważnie przyglądać, jak Janean obsługuje kuchenkę. Czulałam, że powinnam wiedzieć, jak co działa, kiedy Jenean znów zniknie.

Ciekawe, ilu sześciolatków musi się nauczyć obsługi kuchenki w przekonaniu, że jeśli tego nie zrobią, zostaną pożarci żywcem przez wewnętrznego wygłodniałego kocura.

Na kogoś chyba musi paść. Większości dzieci dostają się rodzice, za którymi się tęskni, kiedy umrą. Reszcie z nas przypadają w udziale ci, którzy lepszymi rodzicami są po śmierci.

Zejsście z tego świata to najmilsza rzecz, jaką matka dla mnie zrobiła.

✱

Buzz kazał mi siedzieć w wozie policyjnym, żebym nie stała na deszczu ani nie pałętała się po domu, w czasie gdy będą zabierać ciało. Obserwowałam tępo, jak wynosili ją na noszach, przykrytą białym prześcieradłem. Położyli ją z tyłu w furgonetce koronera. Nawet nie zabrali jej karetką. Nie było

już po co. Niemal wszystkich, którzy w tym mieście umierają przed pięćdziesiątką, zabija uzależnienie.

Nieważne nawet od czego – każde ostatecznie prowadzi do śmierci.

Przyciskam policzek do okna samochodu i staram się spojrzeć w górę, na niebo. Nie widać dziś gwiazd. Nie dostrzegam nawet księżyca. Od czasu do czasu uderza piorun, rozświetlając kłęby czarnych chmur.

W sam raz.

Buzz otwiera tylne drzwi i się pochyla. Deszcz przeszedł teraz w mżawkę, więc policjant ma mokrą twarz i wygląda przez to, jakby kapał z niego pot.

– Podwieźć cię gdzieś? – pyta.

Kręcę głową.

– Chcesz do kogoś zadzwonić? Możesz skorzystać z mojej komórki.

Znów kręcę głową.

– Poradzę sobie. Mogę już wracać do środka?

Nie wiem, czy naprawdę chcę wracać tam, gdzie moja matka wydała ostatnie tchnienie, ale w tej chwili nie mam atrakcyjniejszej alternatywy.

Buzz się odsuwa i rozkłada parasol, chociaż deszcz prawie ustał, a ja już i tak jestem przemoczona do suchej nitki. Ruszam w kierunku domu, a funkcjonariusz podąża o krok za mną, trzymając parasol nad moją głową.

Nie znam Buzza zbyt dobrze. W odróżnieniu od jego syna. Dakotę znam pod wieloma względami, choć wolałabym go nie znać pod żadnym z nich.

Zastanawiam się, czy Buzz wie, jakiego syna wychował. Buzz wygląda na porządnego faceta. Nigdy nie robił ani mnie, ani matce przesadnych problemów. Czasem zatrzymuje samochód w trakcie patrolu naszego osiedla. Zawsze pyta, jak się mam, zupełnie jakby się spodziewał, że będę go błagała,

by mnie stąd zabrał. Ale tego nie robię. Ludzie tacy jak ja wyjątkowo dobrze potrafią udawać, że nic im nie jest. Zawsze się uśmiecham i mówię, że czuję się świetnie, a wtedy on wzdycha jakby z ulgą, że nie dałam mu powodu do wezwania pomocy społecznej.

Wróciwszy do środka, nie potrafię się nie gapić na kanapę. Wygląda jakoś inaczej. Jakby ktoś na niej umarł.

– Dasz sobie radę dziś w nocy? – pyta Buzz.

Odwracam się, a on stoi tuż za drzwiami z parasolem nad głową. Patrzy na mnie, jakby chciał mi współczuć, ale jego umysł pewnie już przetwarza papiery, które będzie musiał w wyniku tej sprawy wypełnić.

– Tak.

– Jutro możesz pójść do domu pogrzebowego i wszystko ustalić. Powiedzieli, że po dziesiątej każda pora jest dobra.

Kiwam głową, ale on nadal nie odchodzi. Stoi tak przez chwilę, niepewnie przestępując z nogi na nogę. Zamyka parasol tuż przed drzwiami, jakby był przesądny, po czym wchodzi do środka.

– Wiesz – odzywa się, marszcząc czoło tak mocno, że fałdki pojawiają się aż na łysinie. – Jeśli nie stawisz się w domu pogrzebowym, mogą to uznać za pogrzeb dla ubogich. Nie będzie żadnego nabożeństwa, ale przynajmniej nie będą mogli ci wystawić rachunku. – Wygląda na zawstydzonego, że w ogóle to proponuje. Przenosi spojrzenie na obraz Matki Teresy, a potem wbija wzrok pod nogi, jakby go właśnie ochrzaniła.

– Dzięki. – I tak wątpię, żeby ktokolwiek się zjawił, gdybym zorganizowała nabożeństwo.

Smutne, ale prawdziwe. Matka była samotna. Jasne, trzymała się ze swoją paczką w barze, do którego chadzała od niemal dwudziestu lat, ale ci ludzie nie byli jej przyjaciółmi. To tylko inne samotne osoby poszukujące się nawzajem, żeby przeżywać samotność wspólnie.

Nawet ta grupa skurczyła się przez uzależnienia, które spustoszyły miasteczko. A ludzie, z którymi Janean się zadawała, nie należą do tych, którzy chodzą na pogrzeby. Większość jest zapewne na bakier z prawem i unika zorganizowanych spotkań, na wypadek gdyby były przykrywką dla policyjnego nalotu.

– Chcesz zadzwonić do ojca? – pyta Buzz.

Wpatruję się w niego przez chwilę, bo wiem, że to właśnie zrobię, ale zastanawiam się, jak długo mogę to odkładać.

– Beyah – mówi, wymawiając moje imię z „i”.

– Nazywam się B-e-ja. – Nie wiem, czemu go poprawiam.

Buzz źle wymawia moje imię, odkąd go poznałam, a nigdy dotąd nie zależało mi na tym, żeby go skorygować.

– B-e-yah – poprawia się. – Wiem, że to nie moja sprawa, ale... musisz się wyrwać z tego miasta. Wiesz, jak tutaj kończą ludzie tacy jak... – Urywa, jakby to, co chciał powiedzieć, mogło mnie urazić.

Kończę zdanie za niego.

– Jak ja?

Wygląda teraz na jeszcze bardziej zawstydzonego, chociaż wiem, że użył tego sformułowania w szerszym sensie. Ludzie z takimi matkami jak moja. Biedni ludzie, którzy nie mają jak się wyrwać z tego miasteczka. Ludzie, którzy lądują w pracy w fast foodzie, aż całkiem w środku odrętwieją, i wtedy kucharz proponuje im coś, dzięki czemu przez resztę zmiany czują się jak na dyskotecę, a zanim zdążą się zorientować, nie mogą przeżyć choćby sekundy koszmarnego dnia bez dawki za dawką, stawiając tamto uczucie wyżej niż bezpieczeństwo własnego dziecka, aż w końcu dają sobie prosto w żyłę, gapiąc się na Matkę Teresę, i przez przypadek umierają, mimo że jedyne, o czym naprawdę marzyli, to uciec przed brzydotą.

Buzz wygląda nieswojo, stojąc tak we wnętrzu mojego domu. Chciałabym, żeby sobie poszedł. Żal mi go bardziej niż siebie, a to ja właśnie znalazłam na kanapie martwą matkę.

– Nie znam twojego ojca, ale wiem, że odkąd się urodziłaś, płacił za was czynsz. Samo to podpowiada mi, że jest dla ciebie lepszą opcją niż pozostanie w mieście. Jeśli masz szansę się wyrwać, powinnaś to zrobić. Życie, które tu prowadziłaś... nie jest dla ciebie wystarczająco dobre.

To chyba jedna z najmilszych rzeczy, jaką kiedykolwiek usłyszałam. I pada akurat z ust ojca Dakoty.

Przygląda mi się przez chwilę, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze. A może oczekuje, że mu odpowiem. Tak czy inaczej w pokoju zapada cisza, aż w końcu Buzz kiwa głową i wychodzi. Nareszcie.

Kiedy zamyka za sobą drzwi, odwracam się i wbijam wzrok w kanapę. Wpatruję się w nią tak długo, że czuję się jak otumaniona. Dziwne, jak całe życie może się kompletnie zmienić w ciągu paru godzin między pobudką a położeniem się do snu.

Z niechęcią przyznaję, że Buzz ma rację. Nie mogę tu zostać. I tak nie zamierzałam, ale sądziłam, że mam przynajmniej wakacje na przygotowanie się do wyjazdu.

Harowałam jak wół, żeby wynieść się z tego miasta, i w pierwszym dniu sierpnia wsiadę do autobusu do Pensylwanii.

Dostałam stypendium siatkarskie na Uniwersytecie Stanowym Pensylwanii. W sierpniu skończę z tym życiem i to nie dzięki czemuś, co zrobiła dla mnie matka, ani czemuś, z czego wyratował mnie ojciec. Tylko dzięki samej sobie.

To ja pragnę zwycięstwa.

Ja chcę ponosić odpowiedzialność za to, na kogo wyrosnę.

Nie zgadzam się na przypisywanie Janean jakiegokolwiek zasługi za dobre rzeczy, które mogą mi się przydarzyć w przyszłości. Nie powiedziałam jej o stypendium, które wywalczyłam. Nie powiedziałam o nim nikomu. Przysięgałam trenerowi dyskrecję i zrezygnowałam nawet z wpisu do gazetki oraz zdjęcia do rocznika szkolnego.

Ojcu też słowem nie pisałam o stypendium. Nawet nie jestem pewna, czy wie, że gram w siatkę. Moi trenerzy za dbali, żebym miała wszystko, czego potrzebowałam w kwestii materiałów, sprzętu i stroju. Byłam na tyle dobra, że nie mogli pozwolić, by moja sytuacja finansowa uniemożliwiła mi grę w zespole.

Nie musiałam o nic prosić rodziców w związku z siatkówką.

Dziwnie się czuję, w ogóle nazywając ich rodzicami. Dali mi życie, ale to bodaj jedyne, co od nich kiedykolwiek otrzymałam.

Jestem skutkiem jednonocnej przygody. Ojciec mieszkał w Waszyngtonie i przyjechał służbowo do Kentucky, a tu poznał Janean. Miałam już trzy miesiące, kiedy się dowiedział, że Janean zaszła z nim w ciążę. Odkrył, że jest ojcem, gdy przesłała mu pozew o alimenty.

Przyjeżdżał raz w roku, żeby się ze mną spotkać, dopóki nie skończyłam czterech lat. Od tego czasu zaczął mi kupować bilety lotnicze do Waszyngtonu, żebym to ja odwiedzała jego.

Nic nie wie o moim życiu w Kentucky. Nic nie wie o uzależnieniu matki. Nic nie wie o mnie, oprócz tego, co mu opowiadam, a to naprawdę niewiele.

Jestem bardzo skryta, jeśli chodzi o wszelkie aspekty mojego życia. Tajemnice to jedyna znana mi waluta.

Nie powiedziałam ojcu o stypendium z tego samego powodu, dla którego nie poinformowałam o nim matki. Nie

chcę, żeby szczylił się córką, która coś osiągnęła. Nie zasługuje na dumę z dziecka, w którego wychowanie nie włożył prawie żadnego wysiłku. Sądzi, że comiesięczny czek i sporadyczne telefony do pracy wystarczą, by ukryć to, że ledwo mnie zna.

Jest typem taty na dwa tygodnie w roku.

Łatwo mu usprawiedliwić nieobecność w moim życiu, bo dzieli nas tyle kilometrów. Odkąd skończyłam cztery lata, spędzałam z nim w każde wakacje czternaście dni, ale w ciągu ostatnich trzech lat w ogóle się z nim nie widziałam.

Od kiedy skończyłam szesnaście lat i dołączyłam do reprezentacji szkoły, siatkówka stała się jeszcze ważniejszą częścią mojego codziennego życia, przestałam więc latać do ojca. Już od trzech lat wymyślałam powody, dla których nie mogłam go odwiedzić.

Udaje, że jest mu przykro.

Ja udaję, że go przepraszam i że jestem zajęta.

Przepraszam, Brian, ale comiesięczne alimenty są dowodem odpowiedzialności, nie robią jednak z ciebie ojca.

Nagle walenie do drzwi zaskakuje mnie tak, że wydaję okrzyk. Odwracam się i przez okno salonu widzę właściciela. Zazwyczaj nie otwieram Gary'emu Shelby, ale w tej chwili nie mam jak go zignorować. Wie, że nie śpię. Skorzystałam z jego telefonu, żeby zadzwonić na policję. Poza tym muszę wymyślić, co zrobić z kanapą. Nie chcę jej już widzieć w domu.

Kiedy otwieram drzwi, Gary wręcza mi kopertę i wypycha się do środka, żeby schować się przed deszczem.

– Co to? – pytam.

– Nakaz eksmisji.

Byłabym zaskoczona, gdyby to nie był Gary Shelby.

– Matka właśnie umarła. Nie mogłeś poczekać z tydzień?

– Spóźnia się trzy miesiące z czynszem, a ja nastolatkom nie wynajmuję. Albo podpiszę nową umowę najmu z osobą,

która ukończyła dwadzieścia jeden lat, albo będziesz musiała się wyprowadzić.

– Ojciec płaci za nas czynsz. Jakim cudem zalegamy trzy miesiące?

– Twoja matka twierdziła, że parę miesięcy temu przestał przysyłać czeki. Pan Renaldo szuka czegoś większego, więc chyba pozwolę mu się przenieść do...

– Jesteś dupkiem, Gary Shelby.

Gary wzrusza ramionami.

– Biznes. Wysłałem jej już dwa upomnienia. Na pewno masz się gdzie podziąć. Nie możesz zostać tu sama, masz dopiero szesnaście lat.

– W zeszłym tygodniu skończyłam dziewiętnaście.

– To nadal nie dwadzieścia jeden. Warunki najmu. To i konieczność płacenia czynszu.

Na pewno istnieje jakiś proces eksmisji, który musi przejść przez sąd, zanim Gary będzie miał prawo wyprowadzić mnie stąd siłą, ale nie ma co się sprzeciwiać, skoro i tak nie chcę już tu mieszkać.

– Ile mam czasu?

– Dam ci tydzień.

Tydzień? Mam tylko dwadzieścia siedem dolarów przy duszy i nie mam się gdzie podziąć.

– Dasz mi dwa miesiące? W sierpniu wyjeżdżam na studia.

– Mógłbym, gdybyś już nie była w plecy trzy. Ale to trzy miesiące plus dwa miesiące, a ja nie mogę sobie pozwolić na to, żeby sprezentować komukolwiek blisko pół roku najmu.

– Straszny z ciebie dupek – mamrocze pod nosem.

– Wspominałaś już.

Przebiegam w myślach listę potencjalnych przyjaciół, u których ewentualnie mogłabym się zatrzymać na najbliższe dwa miesiące, ale Natalie wyjechała na studia dzień po zakończeniu szkoły, żeby zacząć od kursów wakacyjnych. Reszta

moich znajomych albo wyleciała ze szkoły i znajdowała się na najlepszej drodze, by stać się nową Janean, albo miała rodzinę, która bez wątpienia nie zgodziłaby się na lokatorkę.

Jest jeszcze Becca, ale ma obleśnego ojczyma. Wolałabym mieszkać z Garym niż znaleźć się w pobliżu tego faceta.

Została mi ostatnia deska ratunku.

– Muszę skorzystać z twojego telefonu.

– Robi się późno – mówi. – Możesz skorzystać jutro.

Mijam go i schodzę po stopniach.

– To trzeba było poczekać do jutra z oznajmianiem mi, że jestem bezdomna, Gary!

Idę w deszczu prosto do jego domu. Gary to jedyna osoba na osiedlu, która wciąż ma telefon stacjonarny, a ponieważ większości z nas nie stać na komórkę, wszyscy używają telefonu Gary’ego. A przynajmniej zdarza im się używać, jeśli nie mają zaległości w czynszu i nie usiłują go unikać.

Choć minął prawie rok, odkąd kontaktowałam się z ojcem, pamiętam jego numer. Od ośmiu lat go nie zmienia. Dzwoni do mnie do pracy mniej więcej raz w miesiącu, ale zazwyczaj ignoruję jego telefony. Niewiele jest tematów do rozmowy z mężczyzną, którego ledwo znam, więc wolę tego unikać niż sypać kłamstwami, takimi jak: „Mama ma się dobrze. W szkole wszystko dobrze. W pracy wszystko dobrze. Życie układa się dobrze”.

Z trudem upycham resztki ciężającej mi dumy do kieszeni i wybieram numer. Spodziewam się, że przełączy mnie na pocztę głosową, ale ojciec odbiera po drugim sygnale.

– Mówi Brian Grim. – Głos ma schrypnięty. Obudziłam go.

Odchrząkuję.

– Mm. Cześć, tato.

– Beyah? – Teraz, kiedy już wie, że to ja, mówi przytomniejszym i bardziej zmartwionym tonem. – Co się stało? Wszystko w porządku?

Janean umarła – mam na końcu języka, ale jakoś nie mogę tego z siebie wyrzucić. Ledwo znał moją matkę. Od tak dawna nie był w Kentucky, że ostatnio, kiedy ją widział, była wciąż dość ładna i nie przypominała zapadniętego, zataczającego się kościotrupa.

– Tak. W porządku – mówię.

Zbyt dziwnie byłoby poinformować go o jej śmierci przez telefon. Poczekam i powiem mu osobiście.

– Czemu dzwonisz tak późno? Co się dzieje?

– Pracuję na nocną zmianę i trudno mi się dorwać do telefonu.

– Właśnie po to wysłałem ci komórkę.

Wysłał mi komórkę? Nawet nie próbuję o to pytać. Matka z pewnością sprzedawała ją za to, co utknęło teraz w jej żyłach.

– Słuchaj – mówię. – Wiem, że minęło sporo czasu, ale tak się zastanawiam, czy nie mogłabym cię odwiedzić, zanim zacznę zajęcia na uczelni.

– Jasne – mówi bez chwili wahania. – Powiedz tylko kiedy, kupię bilet.

Zerkam na Gary'ego. Stoi niedaleko i gapi się na moje piersi, więc się od niego odwracam.

– Liczyłam na to, że mogłaby przylecieć jutro.

Następuje cisza, słyszę po drugiej stronie ruch, jakby wygramolił się z łóżka.

– Jutro? Na pewno nic ci nie jest, Beyah?

Odchylam głowę i przymykam oczy, znów go okłamując.

– Tak. Tylko Janean... muszę odpocząć. I stęskniłam się za tobą.

Nie stęskniłam się. Ledwo go znam. Ale powiem wszystko, żeby jak najszybciej się stąd wydostać.

Słyszę po stronie ojca stukanie klawiatury, jakby siedział przed komputerem. Zaczyna mamrotać godziny i nazwy linii lotniczych.

– Mogę zarezerwować ci lot liniami United Airlines do Houston na jutro rano. Musiałabyś być na lotnisku za pięć godzin. Na jak długo chcesz zostać?

– Houston? Czemu do Houston?

– Mieszkam teraz w Teksasie. Od półtora roku.

Córka powinna chyba wiedzieć coś takiego o ojcu. Przynajmniej wciąż używa tego samego numeru komórki.

– A, tak. Zapomniałam. – Łapię się za kark. – Mógłbyś póki co kupić bilet w jedną stronę? Nie jestem pewna, jak długo zostanę. Może na parę tygodni.

– Dobrze, kupuję. Znajdź rano agenta UA, wydrukuj ci kartę pokładową. Kiedy wylądujesz, będę na ciebie czekał przy odbiorze bagażu.

– Dzięki. – Rozłączam się, zanim zdąży powiedzieć coś jeszcze. Kiedy się odwracam, Gary kciukiem wskazuje drzwi wyjściowe.

– Mogę cię odwieźć na lotnisko – mówi. – Ale to będzie kosztować. – Uśmiecha się, a sposób, w jaki wykrzywiają się kąci jego ust, przypomina mnie o skurcz żołądka. Kiedy Gary Shelby proponuje kobiecie przysługę, nie na pieniądze liczy.

A skoro już mam się komuś odwdzięczać za podwiezienie na lotnisko, to wolę Dakocie niż Gary'emu Shelby.

Przywykłam do Dakoty. Chociaż nim gardzę, to wiem, że można na nim polegać.

Znów podnoszę słuchawkę i wybieram numer Dakoty. Ojciec powiedział, że muszę być na lotnisku za pięć godzin, ale jeśli poczekam, aż Dakota zaśnie, może nie odebrać telefonu. Chcę dotrzeć na lotnisko, zanim będzie za późno.

Z ulgą słyszę, jak Dakota odbiera telefon. Jego głos brzmi na wpół sennie.

– Tak?

– Hej. Potrzebuję przysługi.

Na chwilę zalega cisza, po czym Dakota mówi:

– Serio, Beyah? Jest środek nocy.

Nawet nie pyta, o co chodzi ani czy wszystko w porządku. Od razu jest na mnie zirytowany. Powinnam była zakończyć to coś, co jest między nami, jak tylko się zaczęło.

Odchrząkuję.

– Potrzebuję transportu na lotnisko.

Słyszę, jak Dakota wzdycha, jakbym była dla niego utrapieniem. Wiem, że to nieprawda. Jestem dla niego tylko czymś w rodzaju transakcji, ale takiej, której nigdy nie ma dość.

Słyszę skrzypienie łóżka, jakby się podnosił.

– Nie mam pieniędzy.

– Ja nie... nie dzwonię w tej sprawie. Potrzebuję, żebyś podwiózł mnie na lotnisko. Proszę.

Dakota wydaje z siebie jęk, ale potem mówi:

– Daj mi pół godziny. – Rozłącza się. Ja też.

Mijam Gary’ego i wychodząc, staram się trzasnąć drzwiami.

Przez lata nauczyłam się, żeby nie ufać mężczyznom. Większość tych, z którymi miałam do czynienia, przypomina Gary’ego Shelby. Buzz jest w porządku, ale nie mogę zignorować tego, że spłodził Dakotę. A Dakota jest tylko przystojniejszą, młodszą wersją Gary’ego Shelby.

Słyszę, jak ludzie mówią o porządnym mężczyźnie, ale zaczynam sądzić, że to mit. Kiedyś myślałam, że Dakota się do takich zalicza. Większość z pozoru przypomina takiego Dakotę, ale pod tymi wszystkimi warstwami skóry i tkanki podskórnej ich wnętrze trawi choroba.

Po powrocie do domu rozglądam się po swojej sypialni, zastanawiając się, czy jest tu cokolwiek, co chciałabym ze sobą zabrać. Nie mam wielu rzeczy wartych pakowania, biorę więc trochę ciuchów, szczotkę do włosów i szczoteczkę do zębów. Zanim włożę ubrania do plecaka, upycham je do

plastikowych worków, żeby nie zamokły, gdybym utknęła gdzieś w deszczu.

Przed wyjściem z domu zdejmuję ze ściany obrazek Matki Teresy. Usiłuję go wcisnąć do plecaka, ale się nie mieści. Biorę kolejną plastikową torbę i wkładam do niej obrazek, a potem zabieram Matkę Teresę ze sobą z domu.

ROZDZIAŁ 2

Jedna martwa matka, jedna przesiadka w Orlando oraz kilkugodzinne opóźnienie z powodu pogody i już jestem na miejscu.

W Teksasie.

Zaraz po zejściu z pokładu i wejściu do rękawa lotniczego czuję, że moja skóra topi się i skwierczy w późnopołudniowym upale, jakbym była z masła.

Wlekę się bez życia i bez nadziei za znakami kierującymi do odbioru bagażu, żeby spotkać się z ojcem, który odpowiada za połowę moich genów, a mimo to jest mi zupełnie obcy.

Nie przypominam sobie związanych z nim żadnych złych doświadczeń. W zasadzie czas, który spędzałam w lecie z ojcem, to moje jedyne dobre wspomnienia z dzieciństwa.

Moja niechęć do niego bierze się ze wszystkich doświadczeń, których z nim nie miałam. Im starsza jestem, tym większą mam świadomość, jak niewiele trudu włożył w to, żeby stać się częścią mojego życia. Czasem się zastanawiam, jak bardzo byłabym inna, gdybym spędzała więcej czasu z nim niż z Janean.

Czy wyrosłabym na równie nieufną i sceptyczną osobę, jaką jestem, gdybym doświadczyła więcej dobrych niż złych chwil?

Może. A może nie. Czasem wydaje mi się, że osobowość mocniej kształtuje krzywda niż dobroć.

Dobroć nie wnika tak głęboko jak krzywda. Krzywda plami duszę tak bardzo, że nie da się jej oczyścić. Zostaje tam na zawsze i mam wrażenie, że ludzie mogą dostrzec te plamy, kiedy tylko na mnie spojrzą.

Życie mogło się dla mnie ułożyć inaczej, gdyby krzywda i dobroć miały równy udział w mojej przeszłości, niestety tak nie było. Mogłabym policzyć na palcach obu dłoni momenty, kiedy ktoś zrobił dla mnie coś dobrego. Nie zliczyłabym wyrządzonych mi krzywd, nawet gdybym użyła dłoni wszystkich osób na tym lotnisku.

Uodpornienie się na krzywdę zajęło mi trochę czasu. Wybudowałam mury, które chronią mnie i moje serce przed ludźmi takimi jak moja matka. Przed chłopakami jak Dakota.

Teraz jestem ze stali. Dawaj, świecie. Nie skruszysz mojego pancerza.

Kiedy wyszedłszy zza rogu, dostrzegam ojca przez szybę oddzielającą zabezpieczoną część lotniska od niezabezpieczonej, przystając. Patrzę na jego nogi.

Obie.

Liceum ukończyłam dopiero przed dwoma tygodniami i choć nie spodziewałam się obecności ojca na rozdaniu dyplomów, to miałam jakiś cień nadziei, że a nuż. Jednak na tydzień przed końcem szkoły zostawił mi w pracy wiadomość, że złamał nogę i nie zdoła przylecieć do Kentucky.

Z miejsca, w którym stoję, żadna z jego nóg nie wygląda na złamaną.

Jak dobrze, że otacza mnie pancerz, w przeciwnym razie to kłamstwo by mnie poraniło.

Ojciec stoi obok punktu odbioru bagaży. Gołym okiem widać, że nie ma kul. Spaceruje nerwowo, ale nie kuleje, ani odrobinę nawet nie utyka. Nie jestem lekarką, ale sądzę, że złamana noga goi się chyba nieco dłużej niż parę tygodni. A nawet gdyby zrosła się w tak krótkim czasie, to z pewnością pozostawiłaby po sobie ograniczenia fizyczne.

Ojciec nawet mnie jeszcze nie zobaczył, a już żałuję, że tu przyleciałam.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wszystko działo się w takim tempie, że nawet nie miało to kiedy do mnie dotrzeć. Moja matka nie żyje, moja noga nigdy więcej nie postanie w Kentucky, a teraz muszę spędzić kolejnych kilka tygodni z mężczyzną, z którym od urodzenia spędziłam niespełna dwieście dni.

Ale jakoś sobie poradzę.

Zawsze sobie radzę.

Przechodzę do hali z odbiorem bagażu, w chwili gdy ojciec podnosi wzrok. Staje w pół kroku i przez dłuższy moment nie wyciąga rąk wepchniętych do kieszeni dżinsów. Widać po nim zdenerwowanie, co mi się w sumie podoba. Chcę, żeby czuł się onieśmielony własnym brakiem zaangażowania w moje życie.

Chcę w te wakacje mieć przewagę. Nie wyobrażam sobie mieszkania z facetem, któremu wydaje się, że zdoła nadrobić stracony czas rodzicielską nadopiekuńczością. Wolałabym, prawdę mówiąc, żebyśmy koegzystowali w jego domu i nie odzywali się do siebie, aż nadejdzie w sierpniu pora mojego wyjazdu na studia.

Wychodzimy sobie naprzeciw. On zrobił pierwszy krok, więc dbam o to, żeby postawić ostatni. Nie przytulamy się, bo trzymam plecak, torebkę i plastikową torbę z Matką Teresą. Nie lubię się przytulać. Dotyk, uściski i uśmiechy nie znajdują się w moim programie spotkania po latach.

Witamy się niezręcznym skinieniem głowy i od razu wi-
dać, że jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi, których łączy je-
dynie fatalne nazwisko* i trochę DNA.

– Wow – mówi, kręcąc głową na mój widok. – Jesteś do-
rosła. I piękna. I taka wysoka... i...

Zmuszam się do uśmiechu.

– Wyglądasz... starzej.

Czarne włosy ma poprzetykane srebrnymi pasemkami,
a twarz pełniejszą. Zawsze wydawał mi się przystojny, ale
przecież większość małych dziewczynek jest zapatrzonych
w swoich tatusiów. Teraz, kiedy już jestem dorosła, widzę, że
to naprawdę atrakcyjny mężczyzna.

Najwyraźniej nawet nieobecny ojciec może być przystojny.

Jeszcze coś się w nim zmieniło w sposób, który nie ma nic
wspólnego z wiekiem. Nie wiem, co takiego. Nie wiem, czy
mi się to podoba.

Ręką wskazuje taśmę z bagażami.

– Ile masz walizek?

– Trzy.

Kłamstwo wyrywa mi się w okamgnieniu. Czasem impo-
nuję sobie łatwością, z jaką przychodzi mi zmyślanie. Jesz-
cze jeden mechanizm obronny, którego nauczyłam się, ży-
jąc z Janean.

– Trzy duże czerwone walizki. Pomyślałam, że może zo-
stanę na parę tygodni, więc wzięłam wszystko.

Słychać dzwonek i taśma rusza. Ojciec podchodzi do miej-
sca, z którego zaczynają się wyłaniać bagaże. Poprawiam na
ramieniu pasek od plecaka – plecaka, w którym mieści się
wszystko, co ze sobą zabrałam.

Nie mam nawet jednej walizki, nie mówiąc już o trzech
czerwonych. Ale może jeśli ojciec pomyśli, że zgubiono

* Grim (ang.) – ponury, wisielczy (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

moje bagaże, zaproponuje mi odkupienie nieistniejącego dobytku.

Wiem, że twierdzenie, jakoby zgubiło się nieistniejący bagaż, to oszustwo. Ale on nie ma złamanej nogi, więc jesteśmy kwita.

Kłamstwo za kłamstwo.

W niezręcznej ciszy czekamy parę minut na walizki, które wiem, że się nie zjawiają.

Mówię ojcu, że muszę się odświeżyć, i spędzam co najmniej dziesięć minut w łazience. Przed wejściem do samolotu przebrałam się ze stroju służbowego. Włożyłam na siebie jedną z letnich sukienek, które miały się w moim plecaku. Siedzenie cały dzień na lotniskach i na ciasnym fotelu w samolocie wymięło ją dodatkowo.

Wpatruję się we własne odbicie w lustrze. Nie jestem przesadnie podobna do ojca. Mam nijakie, pozbawione życia brązowe włosy matki i zielone oczy ojca. Po nim odziedziczyłam też usta. Matka miała wąskie, prawie niewidoczne wargi, więc przynajmniej ojciec dał mi coś więcej niż tylko nazwisko.

Choć mam w sobie coś z obojga rodziców, nigdy nie czułam się związana z żadnym z nich. Jak gdybym sama się adoptowała w dzieciństwie i od tamtej pory radziła sobie w pojedynkę. Wizyta u ojca jest dla mnie właśnie tym... wizytą. Nie mam wrażenia, że przyjeżdżam do domu. Nie czuję nawet, że wyjechałam z domu.

Dom to wciąż mityczne miejsce, którego całe życie poszukuję.

Kiedy wychodzę z łazienki, widzę, że wszyscy pozostali pasażerowie już sobie poszli, a ojciec stoi przy okienku i wypełnia formularz zagubionego bagażu.

– Żadne walizki nie zostały nadane z tym biletem – mówi ojcu agent. – Ma pan pokwitowanie? Czasem przyklepiają je na odwrocie biletu.

Ojciec spogląda na mnie. Z miną niewiniątka wzruszam ramionami.

– Byłam spóźniona, więc mama nadała go za mnie, kiedy już dostałam bilet.

Odchodzę od okienka, udając zainteresowanie zawieszonym na ścianie znakiem. Agent mówi ojcu, że skontaktują się w razie odnalezienia bagażu.

Ojciec podchodzi do mnie i wskazuje drzwi.

– Tam zaparkowałem.

★

Lotnisko jest szesnaście kilometrów za nami. GPS pokazuje, że dom ojca znajduje się sto kilometrów przed nami. W samochodzie pachnie wodą po goleniu i solą.

– Jak się już rozpakujesz, Sara pojedzie z tobą do sklepu, żeby kupić wszystko, czego potrzebujesz.

– Kim jest Sara?

Ojciec patrzy na mnie, jakby nie był pewien, czy żartuję.

– Sara. Córką Alany.

– Alany?

Przenosi wzrok znów na drogę, a ja dostrzegam jak tężeje mu szczeka.

– Moja żona? W zeszłe wakacje wysłałem ci zaproszenie na ślub. Powiedziałaś, że nie dasz rady urwać się z pracy.

Aha. Ta Alana. Nie wiem o niej nic oprócz tego, co wydrukowano na zaproszeniu.

– Nie wiedziałam, że ma córkę.

– No tak. Nie rozmawialiśmy za wiele w zeszłym roku.

Mówi to takim tonem, jakby żywił do mnie jakąś własną urazę.

Mam nadzieję, że źle to interpretuję, bo nie jestem pewna, jak może żywić do mnie urazę w jakimkolwiek kształcie lub

formie. To on jest rodzicem. Ja jestem skutkiem jego kiepskich decyzji i braku antykoncepcji.

– Mamy wiele do nadrobienia – dodaje.

O, nawet nie ma pojęcia, jak wiele.

– Czy Sara ma rodzeństwo? – pytam. Modłę się w duchu, żeby nie miała. Myśl o spędzeniu lata z kimś więcej niż tylko ojcem już sama w sobie stanowi wstrząs dla mojego organizmu. Większego napięcia nie przetrzyma.

– Jest jedynaczką. Troszkę od ciebie starsza, po pierwszym roku studiów, spędza wakacje w domu. Zaprzyjaźnisz się z nią.

Zobaczmy. Znam historię o Kopciuszku.

Wyciąga rękę w kierunku klimatyzacji.

– Nie jest tu za gorąco? Za zimno?

– W sam raz.

Chciałabym, żeby puścił muzykę. Nie umiem jeszcze prowadzić z nim swobodnej rozmowy.

– Jak się miewa twoja matka?

Zamieram na to pytanie.

– Ona... – Urywam. Nawet nie wiem, jak to powiedzieć. Tak długo odczekałam z tą informacją, że teraz wyglądałoby to dziwnie i niepokojąco, że nie powiedziałam mu o tym wczoraj wieczorem przez telefon. Ani na samym początku na lotnisku. No i to kłamstwo, które wcisnęłam agentowi, że to matka podrzuciła mnie na lotnisko. – Dawno nie czuła się tak dobrze – odpowiadam w końcu, szukając ręką dźwigni obok fotela, żeby go odchylić. Zamiast dźwigni znajduję mnóstwo przycisków. Wciskam je, dopóki mój fotel nie zaczyna się wreszcie odchylać. – Obudź mnie, jak będziemy na miejscu.

Kiwa głową i trochę mi głupio, ale nie wiem, jak długa czeka nas droga, i naprawdę chcę tylko zamknąć oczy, spróbować się zdrzemnąć i unikać pytań, na które chyba nie potrafię odpowiedzieć.